

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Przeklęty sarmata : (fragment z "Niemytych dusz")

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 171-181

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Przekłety sarmata * (Fragment «Niemytych dusz»)

«Niemyte dusze» Stanisława Ignacego Witkiewicza uchodziły do niedawna za zaginione. Znano jedynie cztery fragmenty, drukowane w czasopiśmie «Skawa» w latach 1938—1939. Jednak w ostatnich latach wyłynął na powierzchnię pełny maszynopis «Niemytych dusz», sporządzony przez nieznanego «kopistę». Nie był nim ani autor, ani nikt z jego kręgu, na co wskazują liczne błędy, przekręcenia itd. «Niemyte dusze» wyda Państwowy Instytut Wydawniczy w opracowaniu Anny Micińskiej.

Poniższy fragment pochodzi z rozdziału «Znaczenie indywidualum w rozwoju społecznym i tragedia upośledzonych». Powstał najpóźniej w roku 1936, jak wskazuje data na końcu maszynopisu (5 VII 1936 r.).

* * *

Historia polska jest historią tragicznych i ohydnych (słabościowych) omyłek. Nie będę tu, nie mając odpowiedniego wykształcenia, wdawał się w ich krytykę. Pierwsza, zasadnicza omyłka: przyjęcie chrześcijaństwa i w ogóle kultury z Zachodu, a nie od strony Bizancjum, było tym błędem inicjalnym, który zwichnił całą naszą historię i misję narodową, a wszystkie dalsze pomyłki są już jego prostą funkcją; ciągle szarpanie się w połowiczności między istotnym przeznaczeniem a skutkami pierwszego potknięcia się, a do tego jeszcze pewne nasze wyłącznie specjalności, w szczególności zaś jedna, która jak tamten błąd niosący w sobie potencjalnie

* Tytuł od Redakcji. Wyróżnienia autora oznaczono cyfrystowem francuskim.

wszystkie klęski, zawiera w sobie źródło zwichnięcia naszego charakteru narodowego, zahamowania swoistej kultury i wypaczenia tych właściwości duszy, które mogłyby być podstawą wielkich czynów społecznych i wielkiej twórczości: mam tu na myśli tego potwora, którego nikt w tych czasach nie spłodził, tylko my: «szlachecką demokrację». Sama nazwa swą jakąś dziką, bezczelną sprzecznością budzi dreszcz wstrętu i obrzydzenia. «Jest to potwór, który raz się rodzi i nigdy lat swych nie dochodzi» — można powiedzieć o tej ohydnej hybrydzie instytucyjnej; rzeczywiście lat swych nie doszła, bo znudzone naszą ohydą państwa ościenne odebrały nam swobodę dalszego gnicia we własnym śmierdzącym sosie. Kara była w zupełności zasłużona, ale jakim sposobem stało się, że naród tak pod każdym względem uzdolniony mógł sprowadzić na siebie tak zasadniczo kłamliwą i niemrawą formę bytu, podczas gdy wszędzie gdzie indziej, mimo wszelkich wojen, zamieszania i chaosu, utrzymywała się w społeczeństwach hierarchiczna struktura wewnętrzna, po której powierzchni tylko przewalały się wszystkie zdarzenia, struktura pozwalająca na to, aby mimo całej «niespokojności czasów» kultura poszczególnych krajów prawie równomiernie rosła niemal aż do Rewolucji Francuskiej, markującej tak prawie zasadniczy etap rozwoju ludzkości, jak powstanie wielkiego państwa z totemicznego klanu. Jedynie równie ważnym zdarzeniem jest Rewolucja Rosyjska, ten na fantastycznie wielką skalę zrobiony eksperyment, markujący znowu początek końca kłamliwej ery demokracji i panowania kapitału¹. My zrealizowaliśmy jakąś karykaturę demokracji wcześniej niż wszyscy — przecie Polak zawsze pierwszy! — i to stanowi naszą hańbę, coś, co zaprzecza istnieniu w nas zdrowego instynktu rasowego i społecznego. Brak wszelkiej struktury w naszej kulturze, przypadkowe przyjmowanie wszystkiego z zewnątrz, wspaniałe początki bez odpowiednich końców (ta kardynalna cecha najbardziej nawet wybitnych Polaków, podczas gdy każda krytyka potępiona jest jako tzw. «samoopluwanie się à la manière russe»), brak wszelkiej oryginalności w wytwórczości naukowej, artystycznej i filozoficznej, przy kolosalnych danych na tę oryginalność (to jest naj-

¹ Nie chodzi o to, jak (szczegółowo) zostanie to zrealizowane: czy zaraz czy po jakichś wahaniach, czy transformacjach, chodzi o to, że początek nieodwracalny jest zrobiony: pewne rzeczy cofnąć się już nie dadzą. Za ten eksperyment płaci Rosja straszliwymi mękami, ale może cieszyć się tym, że wielkość dziś na świecie jest jedynie po jej stronie.

okropniejsze), to wszystko przypisuję bałaganowi szlacheckiej demokracji, stwarzającej bagno chaosu i rozpad indywidualum bez dyscypliny wewnętrznej zamiast jego swobodnego rozwoju. Swobodę trzeba zdobyć — to jest kardynalne prawo ewolucji społecznej i indywidualnej, a do tego potrzebna jest dyscyplina.

O ile cały rozwój kultury w innych krajach zachodził wewnątrz ściśle zhierarchizowanej piramidy i przez to właśnie mógł posiadać wewnętrzną dyscyplinę, na skutek rozłożenia ciśnienia wewnątrz tej piramidy², posiadającej określoną formę, to u nas piramida ta nie istniała prawie wcale; płynne instytucje, płynna przechodnia władza, chaos i rozpad. To jest właśnie ciekawe, że Zachód (a nawet Wschód «barbarzyńska Rosja» — tam była jednak struktura, prymitywna i dzika, ale była — Piotr Wielki miał przynajmniej dobry materiał dla swej twórczości) wytrzymał tak potworny chaos wojen i walk religijnych, nie tracąc kulturalnej wysokości. Twierdzę, że było tak dlatego, że wśród spiętrzonych fal armii przelewających się z kraju do kraju rdzeń krain tych pozostał nietknięty; walczyli przeważnie królowie i panowie na czele najemnych wojsk — jądro danego kraju (w przeciwieństwie do dzisiejszych wojen wplątujących do czynnej postawy wszystkie warstwy narodu): chłop i mały burżuj, pozostało nietknięte. A przy tym ci, co walczyli, to nie była nadęta hołota, tylko prawdziwi, względnie rzadcy, rasowi panowie, którzy jednak swoją potęgą, siłą swych ambicji, pragnień, idei i przekonań, wynosili też walczące pod ich dowództwem grupy na wyższy poziom życiowego napięcia. Wszystko to robione było z potęgą: był to jeszcze okres rozpuszczania się wielkich ludzi w tłumie i względnie słabej więźby społecznej, poza gniotem władców i ich wasali.

Oczywiście, jak piramida zaczęła gnić od góry, jak typy władców fizycznie i duchowo się zdegenerowały, jak klasa ich przestała wydawać naprawdę silne indywidualności, a karmiąca się tylko siłą przodków wśród form i prerogatyw władzy, przerastających jej rzeczywistą wydajność w ich karlejących postaciach, piramida musiała zgnieć i runąć i nowe czynniki musiały objąć kierownictwo twórczości życiowej i społecznej ludzkości. W każdym razie na Zachodzie, a później na Wschodzie, konflikt został doprowadzony do ostatnich granic dramatyczności i napięć sił działających. U nas, w ohyd-

² Jak świetną tresurą był ucisk kościoła w wiekach średnich! Tylko ten ucisk i tresura myśli na scholastycznej filozofii wywołały wspaniałą wytrysk zdyscyplinowanych sił w okresie renesansu.

nej, gówniastej demokracji szlacheckiej siły rozkładały się bez wielkich różnic potencjałów i napięć, i dlatego wytworzył się ten ohydny kocioł społecznego, narodowego i indywidualnego nizu, to zagłębienie psychicznego, społecznego i ideowego upadku, w które musiały wlać się sąsiednie, debordujące potęgą twórczą twory państwowe. Państwo (i ludzie też) nie lubią próżni dookoła: popuść no trochę «bliźniego», a zaraz ci na mordę wlizie; cóż dopiero mówić o plemiennych czy narodowych, albo sztucznie państwowych grupach ludzkich o wysokiej prężności i wynikającej z niej skłonności do ekspansji, na tle dawnej i głębokiej kultury, która jeszcze nie zaczęła się degrengolować³.

Jest faktem chyba pewnym, że Polska utrzymywała się we względnej równowadze i jakiejś takiej twórczości, dopóki jeszcze były w niej ślady klasycznej struktury tych czasów (nazwijmy ją piramidalną), dopóki «piramidał» jej był względnie zachowany. Oczywiście — na tle specjalnego położenia geograficznego i stosunków etnicznych, w związku z popełnionym kardynalnym bykiem: przyjęcia kultury z Zachodu, na tle przeszłego okresu walk książąt dzielnicowych, co utrudniło tak przyszłą konsolidację, zachowanie tego «piramidału» było niezmiernie utrudnione, a trudności te spotęgowane były jeszcze cechami narodowymi, które wszyscy znamy. «Mądry Polak po szkodzie» (byłoby jeszcze dobrze, ale on i po szkodzie bywał głupi, tzn. nie głupi — inteligencji u nas nie brakło — tylko lekkomyślny), to «jakoś to będzie», krótkodystansowość, aprenudedelużyzm, robienie wszystkiego «na łapcem-capcem» (piękne słowo — co?), ten, że tak powiem, «jebał-pieszizm» (termin zmarłego pejzażysty Jana Stanisławskiego), ten parszywy pseudoindywidualizm, dobry wtedy, gdy trzeba było bić, gardłować, pić i jeszcze co najwyżej nabijać kabzę, ale nie myśleć — to były wady, które razem z poprzednimi «koordynatami» musiały dać w rezultacie zupełny upadek.

Nie moją rzeczą jest głębsza analiza tych spraw na tym miejscu i w ogóle, ponieważ brak mi w tym kierunku wykształcenia, a nawet ochoty. Nie mogłem nigdy czytać dużo o historii polskiej, bo mnie zatykało ze wstydu i oburzenia, tym bardziej że sam, jak i wszyscy moi ziomkowie, byłem produktem tej okropnej machinacji dziejowej — czułem sam na sobie jej skutki. Ale muszę stwierdzić, że dzięki

³ Chociaż Spengler mówi, że dopiero zaczynająca obumierać kultura zaczyna mieć ekspansywne skłonności i ten okres właśnie nazywa nie kulturą, a cywilizacją.

pewnej pracy nad sobą, dzięki Kretschmerowi, Freudowi i dr. de Beaurain zdołałem pewne przynajmniej rzeczy odparować. W ostatnich czasach wiele dał mi do myślenia widok (inaczej nie mogę powiedzieć, bo niestety patrzyłem na to jak z łoża, nie będąc w stanie przyjąć w tym żadnego udziału z powodu schizoidalnych zahamowań) Rewolucji Rosyjskiej od lutego 1917 do czerwca 1918. Obserwowałem to niebywałe zdarzenie zupełnie z bliska, będąc oficerem Pawłowskiemu Pułku Gwardii, który je rozpoczął⁴. Uważam wprost za nieszczęsnego kalekę tego, który tego ewenementu z bliska nie przeżył. Bliższe opisy i wyjaśnienia znajdują swe miejsce w pismach pośmiertnych (tom XIV, 1978 r.).

Podczas tego, gdy inne ugrupowania ludzkie, w przybliżeniu narodowe, wypracowywały w mękach twórczych swoje kultury, stwarzając podstawy dla samouświadomionej już cywilizacji o tendencji wszechludzkiej naszych czasów (mimo potwornych sprzeczności, błędów i programowego cynicznego świństwa tak jest — może w małym jeszcze stopniu; ale to cechuje okres, który rozpoczęła Rewolucja Francuska), co działo się właściwie u nas? Oczywiście działo się coś podobnego, co gdzie indziej, tylko w szalonym stopniu zahamowania przez wyżej wspomniane czynniki wewnętrzne, psychiczne i będące do pewnego stopnia ich funkcją czynniki instytucyjno-formalne.

Zamiast tego, aby piramida gniotła wszystkich równomiernie, względnie do ich stanowisk, potęgowało się coraz bardziej rozwydrzenie ambicji arystokracji, której przedstawiciele musieli mieć większe ilości adherentów, na których znów mogliby się w walkach swoich oprzeć. Dlatego uszlachcali całe masy ludzi, nie mających środków do tego, aby podostać, i moralnie i fizycznie, spadającemu na nich dostojęństwu, które w dodatku, teoretycznie tylko, ale i tak wystarczająco, aby wykoślawić charaktery i odebrać wszelki krytycyzm, czyniło ich «równymi» największym panom, a nawet, w zasadzie, królówi; bo teoretycznie nawet najnędniejsza jakaś szerepetka

⁴ Do 4 roty zapasowego batalionu tego pułku, która rewolucję naprawdę zaczęła, miałem zaszczyt być później wybranym przez moich rannych żołnierzy z frontu (byłem tylko w jednej bitwie pod Witonieżem nad Stochodem). Zawdzięczam ten zaszczyt słabym zasługom negatywnym: nie biłem w mordę, nie kłąłem «pa matuszkie», karałem słabo i byłem względnie grzeczny — nie ponadto. 300 ludzi, zamkniętych w ogromnej, okrągłej, pułkowej stajni, przez kilka dni walczyło przeciw całej carskiej Rosji. Rota ta miała przywilej, że na paradach szła przed pierwszą, a za nią pierwsza, druga i trzecia.

też do korony pretendować mogła, nie mówiąc o magnatach, z których każdy uważał się za pokrzywdzonego, że nie jest królem, lub co najmniej księciem udzielnym na swoich dobrach, co praktycznie często się zdarzało. Tak więc (nie wiem dokładnie, kto zaczął ten proceder upadku, ale zdaje się raczej magnateria zbyt «zindywidualizowana») spsienie arystokracji połączone było ze spsieniem, zdemokratyzowaniem i zdevaluowaniem w kulturalnym procesie samej instytucji szlachectwa, która w innych krajach, «w tej epoce», służyła do podciągania wyżej całej danej społecznej struktury: bądź co bądź, wszystko jedno, czy z obecnego punktu widzenia uważamy to za złe i wolelibyśmy chrześcijańskie katakumby lub totemiczny klan, jako ustrój całej ludzkości, «wtedy» tradycja szlachecka — przez ambicję dociągnięcia się do sławnych (zawsze) z czynów nadzwyczajnych przodków — była czynnikiem pchającym całość wwyż.

U nas, na tle tego, że takie ilości ludzi zostawały szlachtą za byle co, głównie za podlizywanie się i służalstwo wobec możnych⁵, potrzebujących podpór dla swych wychodkowych zaiste troników, kwestia tradycji i atmosfera wielkich czynów, poza czysto szablową odwagą, była odwartościowana. Oczywiście nie neguję wartości odwagi osobistej, z której Polacy słynęli. Odwaga to wielka rzecz; ale jeśli nie jest oparta o całokształt dodatnich właściwości danego osobnika, traci niezmiernie na swej wartości. Iluż jest odważnych bandytów lub awanturników bez czci i sumienia! Za dużo było u nas odważnych do szaleństwa warcholów i wtedy tym gorzej dla nas, bo lepiej by było, aby właśnie warcholi mieli mniej temperamentu i byli na mniejszą skalę stworzeni, w zamian za ludzi uczciwych, którzy jakoś znów u nas przeważnie jaj nie mieli, lub też mieli je zbyt jakoś ukryte. Wielki charakter, wielki rozum i wielka odwaga stwarzają dopiero prawdziwie wielkiego człowieka. Takich było mało, albo ginęli u nas w ogólnym bałaganie niewidocznie, jak muchy w lepie. Naprawdę na pewno nie można chyba powiedzieć: kto zaczął, ale że chyba arystony były najbardziej winne, to jest bardzo prawdopodobne; bo oni przecie musieli hodować i korumpować szarą ćmę szlachecką, aby z niej sobie wiernych wasali na sejmikach stworzyć, a ewentualnie spreparowaną już dobrze bandę w gardłowych sprawach, zajazdach,

⁵ Do tego dołączała się kwestia kolonizowania szlachtą kresów wschodnich, tej stale otwartej rany Państwa Polskiego. Też nie była ta kresowość instytucją zbyt moralną, bo stwarzała ze szlachty ciemiężców chłopów wyższego jeszcze rzędu niż wewnątrz kraju, a z chłopów ujarzmionych tubylców kolonialnych.

czy to już jawnych buntach przeciw władzy swojej (a dla obcej) używać.

Tak więc banda ludzi bez wykształcenia, bez poczucia obowiązku i właściwie bez uświadomionej dobrze przynależności państwowej, niedyscyplinowana, niehierarchizowana, banda, w której, na wzór jej elementów-pierwowzorów (o ile tak powiedzieć można), tj. magnaterii, każdy — według potwornej na owe czasy, z punktu «europejskiego» widzenia, zasady: «szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie» — uważał się za pierwszego i nadymał się też odpowiednio, aby swoje ubóstwo, swój strój szaraczkowy, swój brak ogłady i wykształcenia pokryć.

W instytucji jedynej w swoim rodzaju «demokracji szlacheckiej mamy główne źródło tej naszej wady narodowej, na którą w wymiarach pychy rodowej pierwszy *explicite* w naszych czasach zwrócił uwagę Boy, tj. tzw. przeze mnie puszenia się». Każdy Polak, na tle charakteru struktury (pseudo) swego społeczeństwa, powoli skonsolidowanej w ciągu historii, musiał się napuszać na większą wartość i potęgę niż ta, którą istotnie posiadał.

Zasada, że każdy szlachcic mógł zostać królem, pogłębiająca różnicę między szlachtą a nieszlachtą (czy gdzie trzeci stan lub chłopci byli traktowani z podobną pogardą jak u nas?), była przyczyną przede wszystkim napuszenia się do pęknięcia nieomal wielkich panów. Bo mało było prawdopodobieństwa, żeby królem został np. pan Piegłasiwicz, ale że mógł nim, przy pewnym napuszeniu się i zwerbowaniu odpowiedniej ilości zwolenników, zostać jakiś Lubomirski czy Radziwiłł, to było zupełnie naturalne.

W ten sposób każdy magnat napuszał się faktycznie już, a nie tylko teoretycznie, na możliwego króla i uważał się w gruncie rzeczy za pokrzywdzonego, jeśli nim nie był. W każdym razie, nawet przy braku świadomego dążenia do władzy królewskiej, taki był zasadniczy podkład podświadomy jego psychiki — stąd też (chyba) nazwa «królewiecia». Pycha i chęć wyniesienia się ponad drugich były dominującymi uczuciami każdego panka, i co gorzej, pół-panka, a ponieważ nikt nie mógł zadowolić swych ambicji, więc biedne arystony nadymały się sztucznie do pełna ze swymi pożądaniami, sztukując wzrost (w znaczeniu przenośnym) «obcasami» i «czapami z piór». Stąd każdy Polak ma tendencje do wspinania się choćby na palcach, aby wydać się wyższym, i do tworzenia sobie tego, co nazywam «kołpakiem napuszenia», sztucznej nadbudówki ponad siebie, pustej, a dekora-

cyjnej, mającej omamić drugich, co do istotnej wartości głowy, która się pod tym kołpakiem kryje. Nie dokonywanie wielkich czynów, w celu faktycznego wzniesienia się nad drugich przez «potlatsch», przy pewnym zefasowaniu swej indywidualności w ramach państwowych i ścisłym zhierarchizowaniu wartości istotnej, stało się celem głównym, ale napuszenie się do rozmiarów pseudo-króla, królika w swoim powiecie czy województwie, odgrywanie wobec odpowiednio pomniejszonej widowni (pomniejszonej nie tylko ilościowo, ale jakościowo — to jest ważniejsze) roli absolutnie fikcyjnej, zamiast rzeczywistej — w tym ostatnim wypadku nie na fikcyjnym wierzchołku, tylko na miejscu realnym, gdzieś trochę poniżej faktycznego szczytu władzy. Oczywiście hierarchia była, ale piramida, zamiast piętrzyć się twardo prostymi liniami, «wybrzuszała się»⁶, niebezpiecznie się deformowała i galareciała, stawała się kolooidalną, aż wreszcie zmieniła się w bezkształtną kupę na wpeł płynnych ekskrementaliów za Sasów i Poniatowskiego.

Mimo istnienia wysiłków wyjścia z tej ohydy u pewnych jednostek, wskutek chronicznego upadku ogółu i połowiczności nawet wielkich względnie ludzi, nie nastąpiła żadna poprawa radykalna. Gdyby uwolniono chłopów i gdyby gilotyna porządnie sobie parę lat u nas popracowała, inaczej by wyglądała Polska, a nawet pośrednio i Rosja wieku XIX.

(...) Napoleon rósł w wielkość w miarę ciężarów, które brał na siebie. Dźwiganie Francji i świata całego na spiętrzeniach jego myśli, wydzwigiwały znów myśl tę coraz wyżej, a siłę dawała mu także przeszła burza Rewolucji, której musiał się stać wszeświatowym rozprzestrzenicielem: musiał — inaczej by zginął zaraz na początku swej kariery⁷. Polska nie miała takiej tradycji, albo też ją zagubiła: prócz zyskania własnej swobody nie mogła nic dać światu. I Piłsudski, nad którego głowę już zaczynało chwilami ukazywać się blade widmo piórami zdobnego kołpaka, przez dziwną ascezę w stosunku do wielkości chwili (bo chwila obecna jest od Rewolucji Francuskiej jedną z największych w historii naszej gałki) nie wziął na

⁶ Wyrażenie wzięte w tym znaczeniu właśnie, odnośnie piramidy, z książki gen. Składkowskiego o marszałku Piłsudskim.

⁷ Kto wie, czy nie największym był właśnie w dniach ostatecznej klęski, kiedy poświęcił swoją osobistą ambicję dla dobra Francji.

siebie całkowitego brzemienia odpowiedzialności i zamiast być całkowicie sobą, pozwolił na swobodną grę sił obok swojej niezupełnie ucieleśnionej woli⁸. A Polska z niedoszłej, czy też raczej zdeformowanej męczennicy stała się zwykłym państwem obecnej chwili. (Niezwykłym czymś wszystko jedno jak to będziemy interpretować, jest dziś w świecie tylko Rosja). Cylindry, przyjęcia, ordery, posunięcia, posunięcia i posunięcia — ale idei kierowniczej nie ma i przy tym składzie i rozkładzie sił działających być nawet nie może. Idei nie można szukać i sztucznie jej «wytwarzać»: ona musi «być» w masie narodu i trzeba ją tylko ogniskować, albo trzeba ją ze swych najgłębszych bebechów spontanicznie w jakimś szale twórczym «stworzyć».

Ale wróćmy znów do dawnych czasów. Kiedy mówiłem o moich historycznych «teoriach» Karolowi Konińskiemu, powiedział mi, że jakkolwiek też nie jest sympatykiem demokracji szlacheckiej, to jednak zdaje mu się że ilość potworna szlacheckiego mrowia przez natężenie i skumulowanie ambicji indywidualnej dała tyle godności wytrzymania niewoli, a nawet do wybrnięcia z niej. (Sic!). Może tak i jest, ale wobec tego, że w razie wytworzenia się innej struktury w poprzednich okresach, upadku mogło wcale nie być, słabe to byłoby dla mnie pocieszenie.

O ile tak się czuli magnaci, jak to starałem się przedstawić, to bardzo podobnie musiała się czuć reszta deformującej się piramidy, tylko w różnych proporcjach zależnie od oddalenia od podstawy. Sama podstawa — chłopci, tzw. «czerń», nie istnieli nieomal zupełnie. Była to kompletnie inertna, martwa masa, pozbawiona wszelkiej struktury i jakichkolwiek zorganizowanych dążeń, zagnębiona zupełnie u szerepetków, szlachciurów, pół-panków (typ specyficznie polski) i panów prawdziwych.

Otóż wskutek takiego nastawienia warstw najwyższych, ciągle niezadowolonych z niemożności wygrania swego, pożał się Boże, tzw. «indywidualizmu», warstwy o szczebel niższe czuły się też nie na miejscu i oczywiście, zamiast starać się zmienić to miejsce przez jakąś wybitną działalność, nadymały się sztucznie do rangi królewiat i «robiły», tj. odstawiały, wielkich panów nie w swojej nawet klasie, a o klasę wyżej, tzn. za wysoko, nieproporcjonalnie do swego poło-

⁸ Oczywiście, łatwo coś wielkiego nawet krytykować, a trudniej dokonać, a jeszcze trudniej, najtrudniej daną rzecz do ostatniej doskonałości wyczelować.

żenia i środków. Wieczne niezadowolenie i wieczne nadęcie ponad możliwość i życie ponad stan fizyczne i poniekąd duchowe, jeśli chodzi o poczucie ważności i władzy, stało się zasadniczym rysem psychicznym każdego niemal Polaka. W ten sposób dobra materialne, które mogły być zużyte na istotne podniesienie wytwórczości i kultury, szły na wzmoczenie tzw. «blichtru», na rywalizacje, na «potlatsche», ale nie dotyczące wartości istotnych, tylko pozorów. Wskutek tego bogactwa kraju marnowały się w sposób nietwórczy i nie dający nic na przyszłość. A ludzie kapcanieli i deformowali się w tym nadymaniu się coraz gruntowniej; wytwarzała się ta ogólnoszlachecka («szlachcicka») choroba, której symptomy skomplikowane można streścić w tym zdaniu: «że pozory są ważniejsze niż rzeczywistość, że wobec braku dalekich perspektyw, użycie i pozorna twórczość jest istotniejsza niż spełnianie trudnych czasem i niewdzięcznych zadań na daleki dystans, z myślą o drugich współczesnych i dalszych pokoleniach». A wszyscy pięli się chaotycznie w górę jedni przez drugich, wywyższając się w fikcyjnych wartościach pochodzenia, bogactwa zużywanego na nieproporcjonalne do istotnego stanu efekty zewnętrzne, i urojonego znaczenia.

Gdzie indziej wszystko było zhierarchizowane; aby przejść o klasę wyżej należało czegoś dokonać naprawdę, a nie napuszać się lub podlizzać się komuś więcej jeszcze napuszonemu. Jak to już raz wspominałem w książce o narkotykach «à propos» puszenia się u nas w wymiarach rodowo-heraldycznych, które jest tylko jedną formą puszenia się ogólnego, we Francji np. książę de St. Simon walczył całe życie, zdaje się, o to, aby mieć wyższy numererek książęcy od pana marszałka de Luxembourg. Ale wynik tej walki nie zależał od siły napuszenia się obu tych panów, tylko od faktycznych danych: dat, zasług przodków i koligacji (czyli czystości rasy) i dlatego tak trudną i żmudną było rzeczą stosunek ten ustanowić. Ale właśnie te rzeczy ustanawiano i dlatego piramida nie wybrzuszała się, a jak się raz wybrzuszyła, to tak porządnie, że ją diabli wzięli, bo te warstwy (trzeci stan przede wszystkim), które ją podkopały (tzn. ten czubek właśnie tuż ponad trzecim stanem), były same nasyczone potęgą przez to rozpuszczanie się sił pierwszorzędnej jakości od góry piramidy i związaną z tym wysoką tresurą, a dalej przez olbrzymią kulturę umysłową, przez stałe wyrabianie charakterów w stałej walce o prawdziwe podniesienie swego poziomu: społecznego i wewnętrznego. W każdej chwili pod dostatkiem było wybitnych ludzi na od-

powiednie stanowiska, kiedy tylko sytuacja dojrzała odpowiednio do zmian istotnych. A tego nie można powiedzieć o naszym kraju, który wszystkie siły swe, zdaże się, wydał na wytworzenie pseudo-wielkich indywidualności w wiekach poprzednich; panuje u nas straszliwy brak prawdziwie morowych genialnych ludzi, tj. snardzów mających intuicję chwili i umiejących w tej odpowiedniej chwili kondensować odpowiednie układy sił. Ale to daje przede wszystkim posiadanie jakiejś idei, naprawdę przyszłościowej na daleki dystans, w którą się naprawdę wierzy, która jest po prostu warunkiem koniecznym życia danego indywiduum (do tego musi dojść odpowiednie natężenie intelektualne, na które u nas nie zwraca się nigdy dostatecznej uwagi), a której wcielenie jest warunkiem istotnego postępu całej ludzkości, a nie tylko danego narodu lub klasy, kosztem innych. Skończyła się epoka kultur izolowanych, ziemia stała się organizmem, a każdy jej dwunogi «mówiący» mieszkaniec stał się przynajmniej potencjalnie równym co do możliwości jego sprawiedliwego zużytkowania dla dobra jego i ogółu jej obywateli. W każdym razie musimy wierzyć, że w najbliższej przyszłości to nastąpi.

Tak więc pewne właściwości wrodzone narodowi polskiemu, połączone z jego potęgującą się w swych charakterystycznych rysach strukturą szlachecko-demokratyczną, będącą do pewnego stopnia też ich funkcją, wytworzyły z Polaków naród ludzi niezadowolonych ze swego losu, tzw. z rosyjska «nieudaczników», którzy jako jedyny ratunek przeciw niespełnionym ambicjom musieli widzieć w sztucznym napuszczeniu się do nieosiągniętej realnie wielkości: pić, bić się i puszyć się do ostatecznych granic możliwości, to był jedyny ratunek na nieprzyjemny podświadomy podkład poczucia własnej małości⁹.

Stanisław Ignacy Witkiewicz

podała do druku
Anna Micińska

⁹ Dziś też jest picie wprost niesamowite, tylko miejsce bicia się zajęły: sport rekordowy (każdy przecie może być ostatecznie Bronisławem Czechem, ale nie każdy Bronkiem Linke — patrz mój artykuł w «Tygodniku Ilustrowanym», luty 1936 r.), dancing, bridge i radio. Nikt dziś nie zdaże sobie sprawy z fatalnych skutków tych czterech demonów współczesnego życia. Szczególnie ostatnie zatłamsza swym hałasem resztki inteligencji i czasu potrzebnego do zajęcia się czymś istotnie pożytecznym.